

Tytus Chałubiński: Sześć dni w Tatrach

W głowie górala odbywa się taki mniej więcej proces myślenia: „Ta bieda i tak już ledwie łązi; choćby i chciała iść wyżej, to ci się jeszcze gdzie przekopyrtnie, jeszczebys to musiał na plecach dźwigać. Zresztą to się i na górach nie rozumie! Czy ta, czy druga woda między skałami, to mu tam wszystko jedno”. Zwykle ma słuszość – przyznaje Tytus Chałubiński w książce „Sześć dni w Tatrach: wycieczka bez programu”, której fragment publikujemy w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Tatry. Narkotyk inteligenta”.

Życzę Ci czytelniku abyś zawsze tak dobrze spał jak my w schronisku przy Rybiem, czyli jak się teraz w Zakopanem coraz częściej słyszeć zwykło przy „Morskiem Oku”. – Z powodu nazwy „Morskiego Oka”, muszę Cię ostrzedz, że jeśli kiedykolwiek napadnie Cię ochota pojechać do Zakopanego „dla poznania Tatrów” na trzy lub cztery dni, jak się to dość często zwykło praktykować, to Cię Morskie Oko nie minie. Wołasz przewodników i pytasz jak się wziąć do wycieczki. Zakopianie są bardzo grzeczni i rozmowni. Wśród pogadanki góral już Cię wybadał i zakwalifikował. Albo jesteś kompletnym miejskim – bez urazy – niedołągą, wtedy pojedziesz wózkem do Roztoki – jeśli nie na samo miejsce; albo chodzisz jako tako choć po równej drodze, może już i dopuściłeś się Kościelisk, Strążysk lub na Gubałówkę, zaproponuje Ci drogę przez „Waksmundzką”. Albo uważasz się za wytrawnego turystę, a to na mocy tego, że zwiedzając Szwajcarię byłeś na Rigi – koleją, lub przeszedłeś przez Grimsel albo wreszcie wszedłeś na Faulhorn itd. Nawiasem mówiąc, z ubolewaniem spoglądasz w takim razie na

Zakopian, chodzących w kierpcach i nie znających dobrodziejstwa szwajcarskich kamaszy o funtowej podeszwie, gęsto wielkimi nabitej gwoździami, ani długiego również szwajcarskiego kija. Jeśli nie jesteś egoistą, to nawet w duchu zamierzasz zreformować pod tym względem poczciwych tatrzańskich górali, którym Pan Bóg dał takie dobre nogi a takie nędzne obuwie i ciupagi. W tym tedy trzecim wypadku będziesz przeciągnięty przez Zawrat i Świstówkę.

O czwartej możliwej choć znacznie rzadszej kategorii, pomówimy później.

*Zakopianie są bardzo grzeczni
i rozmowni. Wśród pogadanki
góral już Cię wybadał i
zakwalifikował: jesteś
kompletnym miejskim – bez
urazy – niedołągą, wtedy
pojedziesz wózkiem do
Roztoki*

Owóż w każdym z
powyższych
przypadków,
dodawszy do
kwalifikacji twojej
przebytą drogę, sumy
okażą się równe tj.,
że znajdziesz się
jeszcze przed
dojściem do celu
wycieczki zbitym,
znużonym, zbolałym,

ledwie dyszącym i wyrzucającym sobie z goryczą lekkomyślność, która Cię tu zwiodła, na drogi tak różne od wygodnych alej Saskiego, Strzeleckiego lub jakiegobądź innego ogrodu. Coraz bardziej niecierpliwisz się „onaczysz” (zn. męczysz, nudzisz) przewodnika pytaniami „a czy daleko do tego Morskiego Oka” – „a kiedyż tam będzie to Morskie Oko” itd. – Naprózno góral pociesza Cię z dziesięć razy: że

„zaraz za tym brzeżkiem” – że już nie „precz” (zn. nie daleko).
Naprawdę chwali Cię „jako oni dobrze chodzą, ho, ho, mogliby iść i na Gierlach itp.” – Wszystko to coraz mniej pomaga, czujesz się – dobitym.

Wreszcie spostrzegasz przed sobą wysokie skały zamykające pionowo horyzont, no, tu już wyraźnie świat deskami zabity, przecież dalej iść niepodobna. Jeszcze jeden „brzeżek” i stajesz nad wielkim zwierciadłem wody, u stóp owych skał prostopadłych.

– A więc to, to jest Morskie Oko! – nie pytając już wykrzykasz.

– A hej – przytakuje góral, z politowaniem spoglądając na twoją pocieszoną – naturalnie w tej tylko chwili fizygnomię.

Nie wierze mu na miłość boską, o przyszły tatarniku! jeśli Ci istotnie prawda miła.

– Jako rzekniesz, więc on mnie okłamuje?

No, niby tak po trochu, ale czyni to z dobrego serca. Wprowadza Cię w błąd rzeczywiście, ale głównie przez litość nad Tobą i tylko niekiedy łączy się z tym małą częścią krótkotrwałej niechęci, jeśliś go przez drogę „godnie wyonaczył”. Dla niego wprowadzie to przed czem stoisz było, jest i będzie zawsze „Rybie”, a Morskie Oko tam nad Rybiem wysoko. Ale w głowie górala odbywa się taki mniej więcej proces myślenia: „Ta bieda i tak już ledwie łązi; choćby i chciała iść wyżej, to ci

się jeszcze gdzie przekopyrtnie, jeszczebyś to musiał na plecach dźwigać. Zresztą to się i na górach nie rozumie! Czy ta, czy druga woda między skałami, to mu tam wszystko jedno”.

Zwykle ma słuszość.

Wprawdzie gdy się wyśpisz choć na twardych tapczanie, gdy cię góral gorąca „herbą” otrzeźwi, nakarmi, chętnie się z ganku rozpatrujesz w tej dziwnej ustroni. Jeśli nie masz wodowstrętu (*sit venia verbo*) to i na tratwie chętnie usiądziesz i każesz się przewieźć na drugą stronę. – Tam, trzeba być sprawiedliwym, twój przewodnik nigdy nie zaniedba się zapytać, „a możeby chcieli zobaczyć Czarny Staw co tam jest wysoko?”

Tej drugiej nazwy tyle razy powtarzającej się w Tatrach, używają przewodnicy jako niby *petit nom de guerre* dla właściwego Morskiego Oka. – „A niech sobie tam będzie” – odpowiesz spojrzawszy na stromą pięćset stóp pnącą się perć, „nie ma czasu, musimy się spieszyć” – niewiadomo po co – „do domu”.

Góral jest w porządku, a i tobie się zdaje, że jesteś także, już masz dosyć „Morskiego Oka”.

Jeśli jednakże znajdujesz się w czwartym możliwym wypadku, tj. jeśli naprawdę masz kwalifikację na tatarnika, jeśliś się tak urządził, że możesz choćby nie cały dzień ale przynajmniej większą część dnia pozostać na miejscu, to każdy góral najchętniej Cię doprowadzi do rzeczywistego „Morskiego Oka”, bo oni wszyscy dumni są z

*Jeśli jednakże naprawdę masz
kwalifikację na taternika, to
każdy góral najchętniej Cię
doprowadzi do rzeczywistego
„Morskiego Oka”, bo oni
wszyscy dumni są z
niezwykłych piękności swoich
gór*

niezwykłych
piękności swoich gór.
Gdybyś mnie
zechciał kiedy
posłuchać szanowny
czytelniku i nie
kwapił się do
powrotu, to
radziłbym Ci,
zamówiwszy sobie,
rozumie się,
odpowiednią pogodę,
pójść z Morskiego

Oka nie oglądając się po za siebie tak około 150 do 200 kroków pod górę ku Żabiemu i to koniecznie między pierwszą a czwartą po południu. Potem zwróć się nagle i spojrzysz w Morskie Oko, czy, jeśli je wolisz nazywać Czarny Staw. Przyznasz mi wtedy, że to jest równie cudny jak niezwykły efekt. Wysokość tych częścią czarnych, częścią blaskiem słonecznym oblanych prostopadłych ścian, podwaja się przez odbicie w wodzie. U góry i u dołu niebo. Patrzysz w zwierciadło stawu jakby prze jakiś olbrzymi czarodziejski pierścień, jakby na drugi świat pod tobą, albo przynajmniej na drugą stronę kuli ziemskiej. Co dziwniejsza, że gdy przy oświetleniu właściwym tej porze dnia, zieloność powlekająca tu i owdzie boki jakiej turni, dlaeko prędeż uderza wzrok twój w wodzie, bo jest jakby werniksem powleczoną, aniżeli na skałach po nad wodą, gdzie gubi się w matowej, szarej lub czarnej przestrzeni, tem bardziej ulegasz złudzeniu, że tam w dole widzisz świat inny; niechże jeszcze lekki wietrzyk zmarszczy zwierciadło wody, cały ten drugi obraz drga życiem, którego nie mają ponure kolosy sterczące nad jeziorem.

Wracając raz jeszcze do nazwy Morskiego Oka i Rybiego Stawu, jeśli mi nie wierzysz Czytelniku, zapytaj z wyłączeniem tego „wyonaczonego” przewodnika wszystkich górali z północnej i południowej strony Tatr, zapytaj wszystkich dawniej a z małym wyjątkiem i dziś piszących o Tatrach, poradź się wszystkich kart tatrzańskich, a przekonasz się, że mam słusność. Zajrzyj przede wszystkim do Staszica, który te miejsca z sumiennością, staraniem i zadziwiającą ścisłością badał wtedy, kiedy jeszcze nie bywało w Zakopanem podobnych tobie – zawsze bez urazy – taterników, pytających co chwila dla czego to jeszcze tak daleko do tego Morskiego Oka.

Wszystkie te uwagi mające niby służyć ku pożytkowi i zbudowaniu twemu szanowny Czytelniku, stanęły mi w myśli, gdym dobrze wyspany wyszedł na ganek schroniska, przed wschodem słońca, podziwiając nie wiem po raz który już raz zawsze świeży i zawsze uroczy obraz. Nasi turyści z nad „modrego Dunaju” spoczywają jeszcze. Po niejakej chwili wychodzi jeden z nich, jakiś młody doktor, ale już nie pamiętam czego. Zaczyna zwykłą rozmowę wypytując o szczegóły miejscowości o naszą wycieczkę itd.

– A i my byśmy chcieli też być choć na Gierlachu i Łomnicy.

Spojrzałem bliżej na jego zmęczoną figurę i zapytałem Gładczana:

– A jak oni tam szli wczoraj?

– Ech, kiepsko – rzecze węzłowato przewodnik.

Turysta musiał w tej chwili dostrzedz na twarzy mojej, jakiś gest wąpiący, bo dodał:

– A dlaczegóżby nie, to przecież musi być coś w guście Zawratu, a myśmy wczoraj tam byli.

– No, niekoniecznie – rzekę – Zawrat to właściwie nie wycieczka, ale gościniec tatrzański, którą na wycieczki i damy chodzą.

W tej chwili dwaj pozostali wynurzyli się także ze schroniska, ale z postawą jeszcze mniej obiecującą.

– Mnie się zdaje – dodałem – że panowie, przeszedłszy Polski Grzebień będziecie mieli dość.

Nie byli ciekawi ani „wyższego” stawu ani nawet nie przewieźli się tratwą przez „niżni”.

Gdy Gładczan po paru dniach wrócił do domu, opowiadał, że przyszedłszy do Szmeksu istotnie mieli dość.

Pogoda trwa zawzięcie. Przez całe lato takiej nie było. Odbywamy naradę. Tak nam tu dobrze, iż postanawiamy pozostać przez większą część dnia. Mamy wszak zupełnie do tego prawo. Więc kto z wędką na pstrągi, kto do kąpieli w stawie, kto bawi się jeżdżąc na tratwie. Potem

zbieranie roślin w jakich niedostrzeżonych jeszcze zakątkach. Kapela też nie próżnuje, więc i podłoga schroniska dudni. Aż dobrze z południa wyciągamy do Roztoki.

*Tak nam tu dobrze, iż
postanawiamy pozostać przez
większą część dnia. Mamy
wszak zupełnie do tego prawo.
Więc kto z wędką na pstrągi,
kto do kąpieli w stawie, kto
bawi się jeżdżąc na tratwie*

Tu już po każdej
wycieczce z urzędu
muszą się odbyć
ogólniejsze tańce.
Istotnie jakoś tu
więcej ochoty. Nawet
Szymek, odłożywszy
nieco na bok powagę
tańczy i tańczy
doskonale, a zdarza

się czasem, że jak zacznie to i cztery godziny zrzędu nie spocznie. Ale to tylko w deszcz, kiedy dalej iść nie można. Dziś pogoda, więc załatwimy się w parę godzin. Namiot i część pakunków odprawiamy z depeszą do domu. Nad wieczorem powoli jakby z niechcienia ciągniemy do Jaworzyny. Już jesteśmy na niskiej przełęczy oddzielającej Jaworzyńską Dolinę od doliny Białki, już „Kościeliska” nuta zwiastuje nas z daleka. Zewsząd wylęgają ciekawi oglądać mniej zwykłych w tej porze gości. Na widok choć już zmniejszonego, ale zawsze dość licznego pocztu górali, z muzyką i śpiewem, poznają nas od razu. Dobrze bo też jesteśmy tu znani. Już uprzejma gosposia z oberży, znakomitość w sztuce kulinarnej, stoi przede drzwiami i kiwając głową, uśmiechem oznajmia, że nas poznaje, choć się już w tym roku nie spodziewała.

Jaworzyna węgierska, mocno przypomina Zakopiańskie „Hamry”. Podobne położenie w wąwozie, takie same domki robotników, zwierzyńiec, czarne żuzłami wysypane drogi. Są tu kuźnice a teraz i młyn do mielenia „smereków” (zn. świerków) na papier. Wesoły i śpiewny ludek z przyjemnością zużytkowuje świeżo przybyłą kapelę i znów podłoga dudni długo wieczór. Jest dla odmiany i dobre piwo; „herba” kipi obficie, gwar wesoły. Nawet jakiś rodzaj maskarady urządza się na prędcie. Ktoś z miejscowych facetów przebiera się za konia czy wielbłąda, ku wielkiemu przerażeniu żeńskiej połowy towarzystwa. – Wyszukajcie mi na jutro rano M. Dobranoc chłopcy!

Tytus Chałubiński